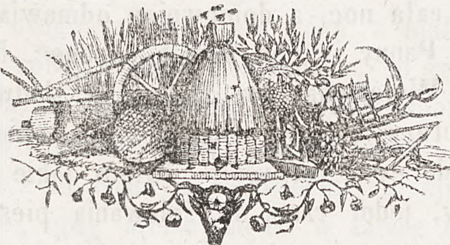
Tom V. Nr. 11.

11. Października. 1861.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święty Jan Kanty.

Niedaleko za Krakowem leży miasteczko Kenty, a w niem mieszczanie, co to żyją z roli i zarobku codziennego. Ileż to tam było ludzi, ile ich tam wymarło! a przecież do dziś nie mówią ci w Kentach o nikim tyle dobrego, co o jednym człowieku, który był biednie urodzony, biednie się wychował, a w końcu poszedł po śmierci do wysokiego nieba i jest świętym. A tym świętym jest św. Jan Kanty, tak zwany od miejsca urodzenia.

W Kentach żyli wszyscy mieszczanie pobożnie — nosili stroje polskie, zwyczajnie jako ludzie zrodzeni na polskiej ziemi i ochrzczeni w polskim kościele. W ich domach poświęconych był ten zwyczaj pobożny, że w izbach przy drzwiach wisiało naczynie z święconą wodą, i każdy maczał sam palce, kiedy wychodził z izby i szedł w drogę albo do roboty na pole i żegnał się pokornie. A zaraz pod oknami stał stół z ukrzyżowanym panem Jezusem, a co piątek wieczór stawiała tam gospodyni świecę i ta się paliła przez noc na chwałę bożą, a domownicy klęcząc odmawiali litanię do imienia Jezus. Nad łóżkiem

wisiał obraz Najśw. Panny Częstochowskiej, a przed nim znowu co sobota zapalała gospodyni lampę, co ją sama masłem nalała, i ta się świeciła całą noc, a domownicy odmawiali tam klęcząc, litanię do Najśw. Panny i „pod Twoją obronę“. Na ścianach wisiały obrazy św. Wojciecha, św. Jacka, św. Jadwigi i św. Kunegundy, albo obrazy królów polskich, co sobie zasłużyli na dobre wspomnienie. Jak przyszło święto jakie, to szło tam wszystko do fary, jedni rano do śpiewania pieśni pobożnych, drudzy później na mszę św., to na nieszpory, a po nabożeństwie rozchodzili się do domu albo do chorych, albo do sąsiada dobrego, gdzie sobie czytali żywot pana Jezusa albo święte pismo, lub sobie rozpowiadali dawne i nowe dzieje, to o Krakowie, to o królu swoim, o królowej i różnych wypadkach, a potem wieczór po Anioł-pański wracali do domu. To też niejeden podróżny, przechodząc przez rynek miasteczka, mówił sobie:

— Mój Boże! jakito pobożny lud tu siedzi! ani pijatyki, ani krzyków, ani próżniactwa nawet we święta, a wszystko porządnie ubrane i poczciwe, aż miło popatrzyć i pogadać z niemi.

Otoż między takiemi ludźmi w miasteczku Kentach żył sobie także pobożnie i uczciwie jeden mieszczanin, któremu na imię było Stanisław, a żonie jego Anna. U niego tak samo świeciły się lampy albo gromnica przed obrazami świętemi, od niedzieli do niedzieli pracował ochotnie to za warsztatem, to w ogródku, a co wieczór śpiewał w domu przy robocie pieśni pobożne, a znowu nad świtaniem odśpiewał godzinki, a gdy u fary dzwoniono na Anioł-pański, to sobie wstał od warsztatu, poszedł przed obraz Najśw. Panny i tam zmówił trzy pozdrowienia anielskie, pocałował obraz i siadał do roboty, albo szedł na rynek, aby co kupić, sprzedać, a broń tam Boże, kogo na grosz okpić lub zedrzeć. A gdy kto prosił, aby mu pomógł stargować albo przedać, to zaraz zrobił za darmo, doradził, pogodził, a tak wszystko pięknie i uczciwie, że go znano w okolicy i mało tam kto bez niego co kupił albo sprzedał. W jego domu nie było najmniejszej obrazy bożej, ani przezwisk ani obmowy, ani śmiechów niepotrzebnych, a po robocie trzymał w ręce święte pismo i czytał i opowiadał, a znał żywot pana Jezusa na palcach i umiał opowiedzieć, gdzie każdy apostoł na-

uczał i jaką śmiercią zginął. W święto szedł do kościoła, ubrany w długą kapotę z białego sukna i opasany pozłacanym pasem, trzcina długa w ręku, a czapka z białego baranka, a prowadził przy sobie małego chłopaczka, co go matka uczesała, umyła i ustroiła po mieszczańsku. Szedł sobie chłopczyk do fary, a ludzie widząc go, gadali między sobą:

— Jakie też to ciekawe to dziecko! Z ojcem już śpiewa zawsze różaniec, gdy ojciec siedzi w ławce i odczytuje tajemnice, to i ono coś czyta sobie i stałoby to podobno cały dzień w kościele.

A znowu jeden mieszczanin rzeknie:

— To ojciec i matka nauczyli go sami tego wszystkiego. Jużci ojciec i matka pobożni, to i dziecko takie.

A znowu kobieta jedna prawi:

— Oj moiściewy! a toć to bardzo pobożne ono maleństwo! Co piątek wieczór odmawia sobie pod krzyżem pańskim litanię do imienia Jezus, a znowu co sobota śpiewa litanię do Najśw. Panny i przeróżne pieśni, a ojcowie klęczą z niem i odpowiadają mu na każde słowo: Zmiłuj się, lub módl się za nami!

A inny z gromadki w ten sens się odezwie:

— To maleństwo co dzień rano jest pierwsze pod drzwiami u fary, a gdy kościelny otworzy bramę; to ono klęczy i modli się a zawsze koło ołtarza pana Jezusa ukrzyżowanego, i zawsze o coś płacze w kościele i o coś prosi. To samo widać, gdy przechodzi koło bożej męki, zawsze główinę nachyla, jeśli może dostać, to całuje obraz święty, a jeśli nie dostanie, to całuje drzewo figury i ziemię koło niej, a zawsze coś mówi po cichu, albo modlitwy jakie, które go matka wyuczyła.

Na to nadszedł sam kościelny i usłyszawszy, o czem to ludzie gadali, sam rzecze:

— To wszystko prawda co mówicie! ale moiściewy, co to będzie z tego chłopczyka! Tać to nie zje samo śniadania, tylko go przynosi co dzień pod farę i da dziadowi jakiemu, a jeśli ma grosik jaki, to go zaraz kładzie do skarbonki pod krzyż pański, a widziałem sam, jak to biedactwo płakało, że nie mogło nic dać dziadowi kulawemu, który wyciągał rękę i prosił ludzi o jałmużnę.

A znowu ktoś inny dodał:

— A gdybyście wiedzieli, jak ono żyje w domu? Zawsze z ojcami śpiewa i modli się, a potem znowu samo dla siebie mówi koło pościeli paciorek, a gdy go ofiaruje, to podnosi oczka do nieba, składa rączki na piersiach, i tak klęczy a klęczy, a łezki mu kapią z oczek jakby ziarnka grochu. Potem się schyla, całuje ziemię, a gdy się ma kłaść spać, to żegna sobie trzy razy pościel, całuje krzyżyk, co mu matka na szyjce zawiesiła, i kładzie główkę na zrobiony krzyż na pościeli, a złożywszy rączki na piersiach, zasypia to biedactwo jakby aniołek milutki. We dnie to ani znać tego w domu, takie ciche, potulne, posłuszne, a ciągle coś czyta w książce, która zawsze leży na stole koło krzyża pańskiego.

I tak gadając o synku Stanisława pobożnego, weszli do fary i widzieli tam, jako Stanisław przewodził w bractwie, a synek jego stał przy nim i śpiewał cieniutkim głosikiem, aż się rozlegało po kościele. I po nabożeństwie obstąpili ludzie Stanisława, a każdy w te słowa do niego:

— Hej Stanisławie! to dziecko to skarby wielkie, jeżeli takie pozostanie do śmierci! — i głaskali synka po głowie, a ojciec uradowany rzeknie:

— Prawda to, że życie nasze w rękach bożych, ale jak się kto pilnuje za maleńkości, to mu pan Jezus da i starość niezłą. Jak rodzice dopilnują a źli ludzie nie popsują, to dziecko wychodzi na ludzi. — I wrócił Stanisław z synkiem do domu, a wtedyto matka Anna całowała Jasia, co im sprawił tyle uciechy i nadziei. I ojciec dbały o synka, tak do matki mówi:

— Trzebaby nam pomyśleć, co dalej robić z tym chłopczyną. Bośmy go w domu nauczyli co można, a dobrzy ludzie niech go uczą dalej chwalić Boga i robić ludziom dobrze.

A matka na to:

— I cóżmy poradzimy na to? Nie ma o czem dać do szkoły, a tu oprócz Jasia są inne sieroty w domu.

— Pójdzie sobie Jaś do Krakowa — rzeknie Stanisław — tam jest król nasz Jagiełło, co to fundował szkoły wielkie i różne dał fundusze na szkoły i na pilnych uczniów; on tam nie zginie, tam są lepsi i pobożniejsi od nas. I odwiózł ojciec Jasia

do Krakowa! Jaś nie zaginął tam, bo wtedy byli pobożni i miłosierni królowie i pany, chłopy i mieszczany, wszystko szło ręka w rękę, jakby wszyscy mieli jedną myśl w głowie pobożną i jedno miłosierne serce w piersiach. I biedny nie zaginie, jeżeli chce być dobrym i natrafia na dobrych. Jaś z Kent miał tylko jedną kapotkę, jedną parę butów i trzy koszulek, jak go ojciec przywiózł do Krakowa, nie raz pobiedował, nie raz spał na gołej ziemi, nie raz przecierpiał dużo, ale kto pana Jezusa miłuje, temu tam nic nie zaszkodzi, a pewnie dopnie swego.

I Jaś przesiedział o wodzie i głodzie i uczył się i modlił, a latka mu płynęły cicho; doszedł do tego, że mógł drugich uczyć, a jak złożył jaki grosik, to sobie pomyślał: — Poszlę do domu biednej matce, aby miała sprawić za co koszulkę dla siostry lub mniejszego mego braciszka — i zrobił tak. Doczekali się rodzice, że Jaś ubrał się w sukienkę kapłańską i przyjechał odprawić pierwszy raz nabożeństwo.

A wtedy szeptali ludzie do siebie:

— A co nie mówiliśmy, że z tego chłopca będą ludzie! Uczył się jakoś, świat mu dopomógł, pan Jezus pobłogosławił i ot jest księdzem!

I było nabożeństwo u fary w Kentach, gdzie to Jaś z ojcem różaniec śpiewał, a teraz błogosławił on rodzicom, że mu dali dobre wychowanie, błogosławił on mieszczanom i chłopom i mówił do nich:

— Dawajcie dzieci do szkoły, pomagajcie co można, a dzieci nasze wyjdą na ludzi, jak to ze mną się stało!

Odtąd wrócił ks. Jan do Krakowa, bo go powołał król na nauczyciela do szkół. Słyszał król o jego pobożności i zrobił go za pozwoleniem Ojca świętego kanonikiem. Ale ksiądz Jan, choć teraz bogaty i kanonik, pomyślał sobie:

— Jestem synem biednego mieszczanina! zostałem księdzem nie na to, aby jeść, pić i nic nie robić, ale aby służyć biednym i sierotom, aby się odpłacić Bogu i królowi za jego dobrodziejstwa.

I żył ksiądz Jan trzydzieści lat w Krakowie! uczył w szkole, pomagał biednym, rozdawał im suknie z siebie, a przytem pamiętał na słowa pana Jezusa:

— Co biednym uczynicie, to mnie samemu uczynicie!

Tak był pobożnym, że nietylko się modlił, ale rzewnie płakał, gdy widział lub słyszał, że kto grzech jaki wielki zrobił. On sam nie grzeszył, bo mówił sobie tak:

— Cóż ci przyjdzie z uciechy grzechowej, jeżeli za to na wieki przyjdzie płakać i smucić się? Coż ci po wszystkiem na ziemi, jeżeli przez to duszę zatracisz?

Aby nigdy nic złego na drugich nie mówić, to sobie napisał na drzwiach czerwonemi literami: „Tyś tak samo grzeszny jak i drugi! Nie wychodź z domu gniewny, ani wracaj tu zagniewany! Co tobie miłe, to mów o każdym.“

Przed śmiercią rozdał wszystko ubogim i oddając Bogu czystego ducha, tak jeszcze mówił:

— Byłem ubogi, niech umieram taki! Dla mnie księdza potrzeba, aby ludzie płakali za mną, aby mię żałowali, aby mieli odemnie dobre nauki i przykłady, bo taki majątek popłaca u Boga! Cztery deski wystarczą do grobu, a na tamten świat trza pójść z miłosierdziem, jeżeli chcesz mieć od Boga miłosierdzie.

Umarł też w Krakowie, mając 70 lat życia. Przeżył trzech królów, bo urodził się za króla Jagiełły, pochował go z żalem i wdzięcznością i ciągle się modlił za tym ojcem swym, przeżył i króla Władysława Warneńczyka i opłakiwał smutną śmierć jego od Turków, a widział też na oczy, jak wtedy żył w Krakowie królewicz święty Kazimierz, a we Lwowie święty Jan z Dukli, jak przyjechał do Krakowa święty Jan Kapistran, i patrzał się jeszcze na pobożne królowanie Kaźmierza Jagiellończyka. I dał mu pan Jezus takie łaski, że za życia robił cuda różne, a po śmierci wzięli święci anieli jego duszę świętą i zaprowadzili do nieba, gdzie króluje i modli się za Polską i Polakami. Więc też prośmy ze łzami tego świętego Rodaka, aby nas nigdy nie opuszczał.

Pieśń
do świętego Jana Kantego.

(*Na nutę jak „Boże dobroci“.*)

Opatrzny Boże! z Twej to świętej woli
Wydobyłeś nas z pogańskiej niewoli!
Z Panem Jezusem przyszło objawienie,
Dla wszystkich ludzi stało się zbawienie!
Tysiąc lat temu jak się Polska chrzciła,
W tych stronach pierwsza w Boga uwierzyła;
Zdeptała swoje nieżywe bałwany,
Przyjęła wiarę, z nią prawe kapłany.
Choć Niemcy pierwej dwieście lat się chrzciły,
I w świętej wierze Polskę wyprzedziły,
Przecież im Polska dotrzymała kroku,
Co Niemcy w sto lat, Polska miała w roku.
Jak żyzne łąki, pojone deszczami,
Trawę ślicznemi zdobią kwiatuszkami:
Podobnie Polskę zaraz na pierwocie
Zdobi pobożnych jak i świętych krocie!
Po miastach, po wsiach były domy boże,
Był tam Pan Jezus u chłopa, we dworze,
A w całym kraju była święta zgoda,
Był i dostatek, była i swoboda.
Byli pobożni królowie z panami,
Byli pobożni mieszczanie z chłopami,
Nie było zbrodni pod niczyją strzechą,
Taką Bóg darzył polski kraj pociechą!
Wtedy to z ludźmi warto było pożyć
W każdej parafji, i tam kości złożyć;
Wtedy i Kenty, uboga mieścina,
Wydała na świat pobożnego syna.
O święty Janie, Kantym nazywany,
Twoja rodzina, to polskie mieszczany!
Z domu nic nie masz, tylko wychowanie,
Dobre przykłady, dobre nauczanie.
Napełnion wiarą, cnotą i modłami,
Zostałeś świętym między Polakami,
Boś karcił grzeszne, biedne brał w obronę,
Okrywał nagie, cieszył opuszczone;
Biednej dziewczynie na jej łzy i łkanie,
Zmieniłeś w mleko czystą wodę w dzbanie;

A rozbójników przebrzydłych gromadę
Wróciłeś Bogu przez ojcowską radę.
O święty Janie, o liljo czystości,
Tyś dla Polaków wzorem pobożności!
W naszym Krakowie Twoje ciało leży
U świętej Anny, — tam lud polski bieży,
I błaga ciebie kornemi modłami:
Święty Patronie, przyczyń się za nami!
Uproś nam biednym boskie zmiłowanie,
Osusz łzy nasze, skróć prześladowanie;
Abyśmy lepszych czasów doczekali,
I z Tobą razem Boga wychwalali. — Amen.

Ułożył: *Ks. Wojciech z Medyki.*

HISTORJA

o sierocie Bogu-miłej.

Na chrzcinach u wójta Marcina Kościela zebrali się ludziska, a że nie pili ani nie tańczyli, bo to teraz czasy smutne, więc jeno gawędzili i gawędzili, jedno wesołe a drugie nie wesołe i tak bez końca. Otóż jak się już inni nagadali, tak ci jęła mówić Paraszka nie stara i nie brzydka kobiecina, a w ten sens:

„Tam podobno aż pod Hrubieszowem, powyż nas, a od Buga niedaleko, w jednej wsi była kobieta jeszcze nie stara; nazywała się, zdaje mi się, Maciejowa. Póki mąż jej żył a był wielce stateczny człowiek i uczciwy, póty o niej nic złego słychać nie było. Bo mąż zawsze naganiał ją do roboty, a odganiał od karczmy; jak spotkał że tam biegła z jajami, czy z serem, to on na nią:

— A do dzieci! do domu! dam ja ci tu. — Więc ona, że młoda była, obawiała się jego, bo jego wszystko było, a ona nic nie miała.

Mieli dwoje dzieci: chłopca Iwanka i dziewczynkę Marysię. Razu jednego pokładli się spać; on spracowany tęgo zasnął, a

ona wstąpiła idąc z pola do karczmy, póki on nie wrócił i nie widział, i wypiła sobie dwa półkwaterki. Więc choć nie była pijana, ale też tęgo usnęła; a tak się spieszyła położyć, że ani uważała jak ogień gasi: że jeno z wierzchu zagarnęła, zatkała babą komin i kontenta; bach na tapczan, i zasnęła jak nieżywa. Tymczasem kawałątko łuczywa zagarnęła w zarzewie, i zaczęło się palić; grochowiny suche, w niedobrze zawiązanym gałganie, zajęły się od łuczywa i cała baba zaczęła się w kominie palić; od niej zapaliły się w górze sadze, a od sadzy dach słomą pokryty, a zwyczajnie wszystko suche zajęło się w momencie. A tu niebożęta śpią w izbie i ani wiedzą, że się dach palić zaczyna; zaś z tych grochowin i sadzy okrutny się dym i swąd w chacie zrobił. Tylko Marysia, jakby ją Anioł obudził, zerwała się, choć to było dziecko, dopiero trzy latek miała, i zaczęła krzyczeć, płakać i wybiegła ze swojej kołyski i ciągnęła ojca za nogi. Obudził się ojciec, poczuł że dym dusi, aż mu głowę zawraca, zobaczył przez okienko, że jakieś światło jakby łuna. Jak się zerwie, jak krzyknie gore! gore! tak i ona się zbudziła. Myślał biedak, że to nie u niego ogień; chce wybiedz żeby lecieć na ratunek, aż tu we drzwiach już słyszy, że mu nad głową trzaska ogień. Wraca żeby dzieci i chudobę ratować; krzyczy: — ratujcie! gore! — Nim się ludzie zbiegli, zgorzała chałupa ze wszystkiemi rzeczami, które w komorze były; a choć stodołę i oborę uratowali, ale tylko drzewo, bo zboże wymłócone miał w komorze, a reszta spaliła się. Tylko ściany porozrywali, żeby się druga chałupa nie zajęła; woły wyprowadzili, a krowa z cielęciem przepadła. Dość, że mało co ocalało; a co najgorzej, że Maciej ratując dzieci i co mógł więcej tak się poparzył, jak się na niego paląca belka zwaliła, że trzeciego dnia umarł.

Jak Maciejowa sama została z dwojgiem dzieci bez żadnego sposobu do życia, tak się zrazu upamiętała. Poszła w komorne do gospodarza i pracowała; ale nie długo tego było. Co zarobiła przez zimę to przędzeniem, to praniem, to i przepuściła; a tak coraz większy ją do gorzałki smak brał, że już nie mogła dnia bez niej wytrzymać. A tu na dwoje dzieci nie wystarczało, bo coraz mniej robiła a więcej w karczmie siedziała; bo już nie

było męża żeby ją napominał i do domu zaganiał. Iwanek biegał za matką, ale Marysię jak raz z sobą wzięła, tak musiała do domu prędko wracać, bo dziewczynina tak płakała a matkę ciągnęła, że nie mogła Maciejowa jej dać rady, i już odtąd nie brała jej z sobą.

Razu jednego Maciejowa siedząc w karczmie od samego rana, sprzedała ostatnią sukmanę, tylko to co miała na sobie pozostało. Iwanek kręci się koło niej i płacze; prosi jeść, bo już dwa dni jak gotowanego ani matka, ani chłopak nie jedli. Żołnierze przychodzili też do karczmy, bo szli do Hrubieszowa i tam mieli dniówkę. Tak jeden pyta się:

— Co tak płacze ten chłopak? —

A Maciejowa porządnie pijana, jak zacznie narzekać na chłopaka, przeklinać, odpychać, mówiąc że ona sama nie ma co jeść, a ten ją męczy, jakby ona miała schowany dla niego obiad: tak żołnierz zaczął Iwanka głaskać a rozpytywać się, zwyczajnie bawić się jak z dzieckiem, i kupił mu bułkę; chłopczyna kontent, już się jego trzyma, i plecie mu co umie, bo miał lat pięć blisko. Żołnierz się śmieje, kontent także z niego, i mówi do Maciejowej:

— Ot wiecie co kobieto: nie macie co dawać jeść chłopcu, nie lubicie go, sprzedajcie mi go, to ja wyhoduję sobie.

— A dobrze — odpowiedziała pijana Maciejowa — a ileż mi dacie? — I zaczęli się umawiać, i na końcu targ w targ, i sprzedała go za cztery złote.

— Ach to nie może być! — przerwali opowiadanie Paraszce wójt i inni. — To nie może być, żeby matka dziecko własne sprzedała!

— To nie matka go sprzedała — odpowiada Paraszka — jeno wódka.

— Przecie nie musiała być bardzo pijana i bez pamięci, kiedy się targowała — ozwała się wójtowa.

— Zapewne; ale wódka zabiła w niej miłość do dziecka. Ona tylko o tem myślała zkądby wziąść na wódkę. Zresztą ja tam nie wiem, jak ona to mogła zrobić, ale wiem że zrobiła; bo państwo znają dziedziców tej wsi gdzie się to stało — odpowiedziała Paraszka.

— No więc jak się potem zrobiło? Czy żołnierz zabrał dziecko? Powiedzcie kumo jak dalej było? — prosiła wójtowa. A Paraszka tak dalej mówiła:

„Jak już przybili targu, tak żołnierz kupił matce wódki w dodatku, zapłacił cztery złote i bierze chłopczynę, któren coś widać zrozumiał, bo zaczął płakać. Ale matce nie zabolało serce na płacz dziecka, wódka w niej serce zalała. Wzięła cztery złote i poszła z karczmy do domu, rada, że będzie miała za co pić. Jak wróciła do domu bez Iwanka, tak zaraz zaczęła płakać Marysia, a gospodyni się wypytywać. Maciejowa nie śmiała powiedzieć, że sprzedała własne dziecko, jeno powiedziała, że go wziął żołnierz na opiekę i dobrze mu będzie. A jak zaczęli na nią w chałupie wszyscy krzyczeć, tak ona się tłumaczyła, że nie ma go czem żywić, że dziewczynie z litości gospodyni jeść daje, a chłopcu nie; ona też go oddała. Szczęściem dla Iwanka, dziedzic tej wsi był dobry bardzo pan, przystępny; jak się co złego we wsi działo, zaraz musiał wiedzieć. Więc nazajutrz gospodarz wstąpił do karczmy spytać się czy prawdę Maciejowa powiedziała, a dowiedziawszy się jak i co, poszedł do dworu i powiedział co się stało. Pan natychmiast posłał do Hrubieszowa do starszego z pieniędzmi i odebrali dziecko od żołnierza. Słyszę jak przywieźli Iwanka biednego do dworu, to panienki śliczne jak anioły, córki dziedzica i sama pani, aż płakały nad nim, i już go matce nie oddały, tylko się dotąd we dworze znajduje. Ale pan sprawiedliwy nie puścił płazem Maciejowej: kazał ją publicznie na środku wsi ukarać. Zmiarkowała się dopiero wtedy, że gorzej niż zwierzę zrobiła, i zaczęła się wstydzić i pomyślała sobie: — Nie ma tu już co robić w tej wsi, wszyscy mnie będą palcem pokazywali, pójdę sobie w świat na zarobek. — I poszła wziąwszy z sobą Marysię, która wtedy cztery lata miała.

Poszła Maciejowa aż o kilka mil; nadchodziło żniwo i pomyślała sobie że dużo zarobi. Ale gdzie tam, jak kto się raz rozpróżniaczy a rozpije, to bardzo trudno aby się sam poprawił. Zrazu pracowała, ale zaraz połowę zarobku przepiła; nareszcie zapadła w ciężką chorobę, co się nazywa zapalenie. Cyrulik jej krew puszczał i nie kazał pić wódki ani piwa, ale

ona tylko do tego gust miała; prosiła komornicy drugiej i ta jej przyniosła wódki, wpadła więc w straszną gorączkę, plamy sine powystępowały na nią i umarła. A mała Marysia siedziała nad nią i płakała. Było to w wiosce do księży Bazyljanów należącej, więc pochowali księża Maciejową darmo, a biedna Marysię wziął gospodarz jeden do siebie, bo mówił:

— Mam dwóch chłopaków a nie mam dziewczyny, niechże się i dziewczyna między nimi chowa.

Ale cóż, kiedy na nieszczęście Marysi, gospodyni okrutnie zła była, tak że właśnie chłopy się jej bali, a cóż dopiero biedna sierota: to też ona tam przepłakała nie jedną godzinę, a nawet noc nie jedną. Do tego chłopaki były swawolne, to znów nieraz dokuczali jej. Marysia wszystko cierpliwie znosiła, tylko w cichości płakała i modliła się, bo ją nauczył pacierza świętobliwy dziadek co do gospodarza przychodził. Dziadek był ze wsi okolicznej, w której był szewcem tak poczciwym, że go ludzie za świętego mieli. Najczęściej ten idzie na dziada co był za młodu ladaco, próżniakiem, a tu nie tak: on był pracowity, poczciwy, tylko tak sobie powiedział:

— Póki mogę pracować to będę pracował, a jak mi ręce ustaną, a oczy mgła zasłoni, to wezmę torbę, będę się modlił, a gdzie przyjdę dostanę kawałek chleba, ludzie mi go nie pożałują, bom go nikomu nie chciał odebrać, nikogo nie pokrzywdziłem.

Otóż ten dziadek, choć mało z domu wychodzić lubił, ale że to niedaleko, przychodził często, i różne rzeczy Marysi rozpowiadał, a ona wlepi w niego oczki i słucha. I tak rosła rok za rokiem, a z każdym przybywało jej pracy, bo gospodyni chciałaby była, żeby sierota za ten chleb co jadła, miała cztery razy więcej roboty. Marysia znosiła jak mogła, pracowała jak mogła; a jak czasem zdawało się jej, że nie dźwignie worka z kartoflami, albo jak ręce pomdlały, że nie mogła w żarnach kamienia obracać, a tu koniecznie kazała gospodyni zemleć, to ona zaraz ręce składa a modli się, modli: i żarna jakby same znów się kręcą, a Marysia rada dziękuje Bogu i cieszy się, że jak jej dziadek przyjdzie to mu się pochwali.

Tak rosła sierotka, a choć w biedzie i pracy, choć nędzna i bladawa była, to taka śliczna, że każden się zastanawiał i mówili ludzie:

— Cóż to za śliczna dziewczyna! To doprawdy jakby królewskie dziecko! Bo co to za bieluchna, a jakie oczy, jakby w czyste niebo patrzał; o! a jakie włoski, to jak najbielszy, najcieńszy len; a cieniuchna jakby młoda sosenka.

Chłopaki gospodarza choć ją za siostrę uważali, wiedzieli że ona sierota a nie siostra ich, więc zaczęli do niej po kolei zalecać się, ale Marysia tak sobie z nimi umiała radzić, tak im o grzechu i o sądzie Boskim gadała, że potem żaden ani śmiał dostąpić i pożartować. Dziadka też się bali, bo im także nauki dawał, a sądem Boskim straszył.

Razu jednego przyszedł dziadek, ale tak wolno szedł, a taki był blady, że Marysia zlękła się i pytać zaczęła:

— Co to wam dziadulu? Ja pójdę za Chełm do waszej pani, żeby wam dała lekarstwa.

A dziadek jej odpowiada:

— O! nie trzeba mnie lekarstwa moje dziecko! nie trzeba.

I tak się zaśmiał radośnie, że Marysia pomyślała, że pewnie zdrów być musi. A on jej dalej począł tak mówić:

— Może mi Bóg nie da już do ciebie tu chodzić, słuchaj więc moje dziecko co ci powiem. Ty jesteś sierota Bogu-miła, bo wypełniasz przykazania Jego i boisz się grzechu; otóż staraj się do końca życia, tylko jego się obawiać, bo nie ma nic straszniejszego jak grzech. Jak zboże od zarazy, tak dusza człowieka od grzechu jak raz zczarnieje, to się z jasnością Boską już połączyć nie będzie mogła, jak noc ze dniem, tak nieczysta, czarna dusza z jasnością Boską połączyć się nie zdoła. Więc moje dziecko, strzeż czystości duszy twojej, uciekaj od grzechu bardziej jak od śmierci! Masz lat szesnaście, sierotą jesteś; ani wiesz przez jakie próby iść będziesz musiała, ale nie lękaj się, Bóg nikomu krzywdy nie uczyni, zasmuci i pocieszy, byle człowiek nie zgrzeszył, bo wtedy nie ma pociechy. Ojciec Niebieski zawsze za dobre wynagrodzi; On każdą łzę porachuje. Jak cię nieszczęścia przycisną, to pomyśl sobie: Ojciec Niebieski nie da mi krzywdy zrobić, czy tu,

czy tam; On mnie pocieszy i wynagrodzi. Bogu ufaj, od grzechu uciekaj, a będziesz zawsze Bogu-miłą.

Jak to powiedział, tak pożegnał Marysię i wyszedł, a ona stanęła zrazu jakby to właśnie nie człowiek do niej mówił, dopiero się opamiętała jak wyszedł, i zaczęła go wołać: — Dziadulu! dziadulu! — i chciała go gonić, ale nie mogła, tylko z daleka między krzakami migotała torba biała na szarej sukmanie.

— Co się zrobiło dziadkowi — mówiła do siebie — że tak prędko popędził do domu, jakby go co gnało? Dzięki Bogu, że jakiś żwawy, a ja zlękłam się czy nie chory.

Już to ostatni raz widziała dziadka Marysia, biednej sierocie zbrakła ta ostatnia pociecha!

Napróżno go codzień wyglądała, aż dowiedziała się w końcu, że umarł zaraz na drugi dzień, jak był u niej i u spowiedzi u Matki Boskiej. Ciężko płakała Marysia, jakby za rodzonym ojcem.

— O! ja biedna sierota — mówiła — przed kim ja się teraz użalę! Kto mnie pocieszy! kto mnie radą poratuje!

I tak płacząc zasnęła nieboga, a we śnie dziadek, cały w bieli, jakby ze chmur spuszcza się ku niej, i powiada;

— Nie płacz moje dziecko! nie narzekaj, że cię nikt nie pocieszy, że cię nikt nie poratuje: Bóg cię pocieszy, Bóg poratuje, ile razy z wiarą i ufnością prosić go będziesz.

Obudziła się Marysia cała w trwodze, ale razem jakoś lekko i miło zrobiło jej się na sercu.

— Chyba mój dziaduś w Niebie — mówiła sobie — kiedym go w takiej białości widziała, chyba on tam za mnie Boga prosić będzie.

I od snu tego przestała płakać Marysia, bo zdawało się jej, że chociaż nie widzi dziadka swego, to on jest przy niej, a przypominając sobie, jak to on jej rozpowiadał, że przy każdym człowieku jest czysty Anioł Stróż, któren strzeże człowieka i od grzechu odwodzi, i póty jest przy człowieku, póki człowiek ciężkiemi grzechami nie odpędzi go od siebie. Tak Marysia rozmyślając co jej gadał, jak ją nauczał, pracowała ciężko a modliła się gorąco, i coraz jej praca łatwiej szła.

Aleć tu już miejsca nie dużo a historja długa, więc wam w przyszłym numerku dokończę, jak to Paraszka u wójta na chrzcinach opowiadała.

RÓŻNOŚCI.

Świeże czytelnie. W mieście *Cieszynie* na Szlązku, zawiązała się niedawno Czytelnia, taka, o jakich to w Dzwonku już nieraz się mówiło. Znajdują się w niej różne książki i gazety polskie, są też obok tego czeskie, morawskie i inne nam pobratymcze pisma, bo tam Czechów i Morawiaków więcej jak u nas. Widać z tego, że Pan Bóg Najwyższy opiekuje się naszym polskim ludem i naszą polską mową, boć to Szlązk bywało różnemi chodził rękami: raz do Polski, to znowu do Niemców należał, a przecież, choć z Niemcami miał do czynienia, przy polskiej mowie i wierze pozostał. Drukują też tam nawet w Cieszynie polską Gazetę, ot, podobną do Dzwonka, a zwie się ona *„Gwiazdka cieszyńska“*, bo to niby gwiazdka na samym krańcu naszej ziemi od Niemiec nam świeci.

Oprócz tej czytelni, założono jeszcze jedną w *Kleczy górnej*, w Wadowskiem, a to za staraniem tamtejszego pana dziedzica i jego małżonki, która jak kochająca matka opiekuje się ludem wiejskim. Na dobre też i ta Czytelnia wychodzi, bo lud się w niejednem oświeca, a tem też ku Chwale Bożej się przyczyniając, bo nauka do Pana Boga podnosi, a ludziom niesie pożytek.

Jakób Sobieski, ojciec naszego Króla Jana III co Wiedeń oswobodził, tak mawiał o nauce:

— Nauka wszędzie człowieka zdobi: i na wojnie i u dworu i w domu i na urzędzie. Widzimy to, że ludzie więcej sobie ważą chudego pachołka a uczonego, aniżeli choćby jak wielkiego pana a błazna co go sobie palcem ukazują.

Jan Sobieski, król polski pod Wiedniem. Zmówiwszy się już o ojcu tego króla, powiemy tu że niedawno, boć 12 Września, a więc prawię miesiąc temu, wypadała rocznica, jak król Jan Sobieski czyli *Jan trzeci* pobił ogromną ilość Turków pod Wiedniem. Polska bywało zastawiała zawsze sąsiednie narody przed napadami tureckiej i tatarskiej potęgi; a roku 1683, więc lat blisko dwieście, na wielkie prośby posłów Austryjackich pociągnął król Jan na czele naszych dziarskich wojowników pod Wiedeń, gdzie jak się rzekło,

12go września odniósł nad poganami sławne na cały świat zwycięztwo. I nie dość na tem, że ich pod Wiedniem rozprószył, ale ścigał jeszcze aż do samych Węgier i tam bił co się wlazło.

Otóż mówi się tu dla tego o tem, bo dzień ten obchodzą co roku w Wiedniu solennem nabożeństwem. I tego roku obchodzono dzień ten bardzo wspaniale w kościele jednym we Wiedniu, gdzie i nasi posłowie na sejmie pokornie mszy świętej słuchali; a obchodzili też tę pamiątkę i w wielu miejscach u nas, dziękując panu Bogu, że nas od pogańskiej zachował niewoli.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Jak to się nieraz dziwnie na tym świecie zdarza, najlepiej widno z wypadku, jaki się dwa miesiące temu we wsi *Byszkowcach*, w Czortkowskiem, wydarzył. Pewien gospodarz, imieniem Iwan, zasiadł był sobie przy łanie kukurudzy ze strzelbiną, a było już dobrze pod noc, chcąc coś ubić jeśli się nadarzy. Miesiączek wyszedł do góry, przyświeca ładnie, Iwan siedzi i patrzy, aż ci naraz zaszeleściło coś wśród kukurudzy. Iwan myśląc na pewne, że to zajączyna albo jaki inny zwierz, wymierza w tę stronę i pal! aliści Chryste Panie, krzyk ludzki się na to rozległ, a taki straszny, że Iwan jak nie skoczy, patrzy, a tu polowy tamtejszy Janko leży rozciągnięty na ziemi, krew idzie z niego, a on ci już ledwie co dycha. Owoż pokazało się, że Janko zasiadł sobie był na polowych złodziei, bo mu szkodę robili, i tak obaj z Iwanem niewiedzący o sobie, czatowali nieopodal. Tamten ot poprawiając się, ruszył się z miejsca, a Iwan, mój ty miły Boże, strzelił, i niechcący popełnił okropne zabójstwo!

Oj dobrze to mówią ludzie: człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Poczciwe psisko. Jak w psiskach poczciwa bywa natura, i jak są wdzięczne za opiekę swych panów, najlepiej świadczyć może następujący wypadek. We wsi Jagodne za Wisłą, sołtys tamtejszy wychowaną przez siebie sukę sprzedał w Warszawie. Ten pan który kupił zamknął ją w pokoju żeby mu nie uciekła, i trzymał pod zamknięciem dopóki sołtys nie wyjechał. Lecz po kilku dniach jakież było zadziwienie w domu sołtysa, gdy dostrzeżono ową sprzedaną sukę leżącą wraz ze szczenięciem na zwykłem swem legowisku. Ale to nie dosyć, bo wkrótce suka zniknęła i nazajutrz znowu się zjawiła z drugiem szczenięciem w pysku. Podróż taką wynoszącą ośm i pół mili odbyła aż pięć razy, tyle ile miała szczeniąt, ale za przybyciem z ostatniem padła i zdechła. Nieme więc to stworzenie, jakże się okazało od wielu ludzi i lepsze i wdzięczniejsze!

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.